

Zbigniew Czarnuch

Z dziennika regionalisty

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 18, 205-227

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zbigniew Czarnuch
Witnica

Z dziennika regionalisty

Od autora

Środowisko historyków małych ojczyzn naszego regionu od nieco ponad dwu dekad znajduje się w specyficznym okresie pisania niejako „od nowa” dziejów swych lokalnych społeczności. Nie tylko w związku ze zmianą ustroju państwa, co wymusiło zmianę systemu wartości i związane z tym kryteria doboru faktów i ich interpretację. Także w odniesieniu do konieczności przewartościowania naszego stosunku do tego, co tutaj jest „poniemieckie”. Opisanie dziejów tej ziemi, tym razem także przy współpracy z Niemcami, by możliwie najpełniej poznać i zrekonstruować tamten ich mały świat naszego wspólnego dziś z nimi „heimatu”. Stwierdzenia te brzmią podejrzanie i oportunistycznie, ale tak to jest z przeszłością, którą każda epoka odkrywa po swojemu.

Poza rekonstrukcją tego co było, obiektem naszego zainteresowania winno być także dziś, które jutro przeistoczy się we wczoraj, a to już jest obszar zainteresowania historyka. Okoliczności bieżącej pracy badawczej okresu, w którym żyjemy, ze względu na swą polsko-niemiecką specyfikę kontaktów z wymierającym pokoleniem „sprawców i ofiar” i wkraczaniem ich potomków na szlak tropów przodków, zasługują także na utrwalenie. Jako badacz zaangażowany w te procesy poniższym tekstem podjąłem próbę udokumentowania tego zjawiska, jak i innych aspektów poczynań odnoszących się do dziejów regionu. Nadałem mu formę dziennika zawierającego autorskie relacje i impresje ze zdarzeń związanych z uprawianiem regionalistyki w okresie od stycznia do kwietnia roku 2011. Tekst pisałem z zamysłem opublikowania go na łamach naszego Rocznika.

OOO

9 stycznia. Berlin – Afryka – Sulęcín

Pani dr Dagny Wasmund przysłała mi zaproszenie do Berlina. W swym domu zlokalizowanym w pobliżu stadionu olimpijskiego zorganizowała spotkanie z udziałem związanej z Dąbroszynem Jutty von der Lancken, Anne – Margret von Klitzing wywodzącej się z dawnego majątku w Sosnach i jeszcze dwu innych pań. Przedsięwzięcie miało na celu przedstawienie zebranym urodzonej w Południowej Afryce

dr Anneke Jubert, badaczki dziejów misji, jakie na tamtym terenie zakładał w XIX wieku niemiecki Kościół Ewangelicki. Jedną z takich placówek misyjnych założył urodzony w Sulęciniu 2 sierpnia 1868 roku Carl Adolf Gustav Hoffmann. Był nie tylko kaznodzieją, ale także badaczem etnografem opisującym obyczajowość jednego z plemion Rodezji, wśród którego prowadził działalność misyjną. Jego etnograficzne relacje zamieszczone w berlińskim czasopiśmie misyjnym są dziś bardzo ważnym dokumentem dla studiów nad ewolucją kulturowej tożsamości obecnych mieszkańców tamtego kraju. Spotkanie miało na celu spopularyzowanie efektów dociekań dr A. Jubert także wśród dawnych niemieckich i obecnych polskich mieszkańców Sulęcina i terenu Nowej Marchii. Podałem uczoney numery telefonów badaczy ziomkowskich oraz zamówiłem biogram Hoffmanna dla naszego Rocznika, co spotkało się z satysfakcją organizatorki spotkania i aprobatą dr Jubert. Badaczka ta, jako obywatelka Rodezji, po przyjeździe do Europy, mając trudności z zatrudnieniem w Berlinie, kilka lat pracowała na Uniwersytecie Poznańskim, ale obecnie jest już zatrudniona na berlińskim Uniwersytecie Humboldtów.

Z Dagny Wasmund zetknąłem się przed dwoma laty, podczas organizacji wycieczki do Berlina tropem Polaków. Z inicjatywy Jutty von der Lancken Dagny Wasmund opowiedziała nam wtedy o Bettinie von Arnim, pisarce i bojownicze o prawa kobiet w pierwszej połowie XIX wieku, która stawiała także w obronie prześladowanych w tym czasie Polaków.

Kiedyś wspomniałem jej o naszym Lubnie i powiązaniach tej wsi z Adolfem Hitlerem i Erichem von den Bach-Zelewskim. Rozmowa zaowocowała zaproszeniem naszej grupy krajoznawczej w roku następnym do Poczdamu, do domu w którym mieszkała niegdyś baronowa Maimi von Mirbach. Była siostrą baronowej Celine von Treichel, żony właściciela majątku w Lubnie, entuzjasty narodowego socjalizmu, SS Sturmbahnführera Karla von Treichel, która na wieść o śmierci męża 7 marca 1937 popełniła samobójstwo, osierocając trójkę małych dzieci zabranych potem przez ciotkę do Poczdamu. Dr Wasmund zaaranżowała spotkanie naszej grupy z właścicielem miłego lokalu o nazwie MatschkesGalerieCafee, miejsca spotkań poczdamskiej bohemy urządzonego w oficynie domu baronowej.

Opiekunka sierot po nazistowskiej rodzinie von Treichelów jest dumą Poczdamu jako przedstawicielka ruchu antyhitlerowskiego oporu i bohaterska obrończyni prześladowanych poczdamskich Żydów. Pan Matschke był inicjatorem zorganizowania w roku 1994 wystawy jej poświęconej, z której katalog podczas spotkania nam podarował.

W maju roku 2011 dr Wasmud podjęła się prowadzić naszą grupę szlakiem zamków nad Sprewą w okolicach Poczdamu.

10 stycznia. Zmierzch jedynej lubuskiej księgarni regionalnej

W roku ubiegłym przestało istnieć z Zielonej Górze jedyne w naszym województwie miejsce, w którym można było zaopatrzyć się w lubuskie publikacje historyczne. Była to Księgarnia Akademicka i znajdowała się na terenie jednego z budynków Uniwersytetu, który swą polityką podnoszenia czynszu za wynajmowanie

lokalu doprowadził do likwidacji tej tak dla nas pożytecznej placówki, co ponuro pozostawiam bez komentarza. Jej twórca i właściciel Bogusław Mykietów firmę prowadzi dalej, ale już tylko jako księgarnię wysyłkową.

Bogusław Mykietów jest nie tylko sprawnym handlowcem, ale także badaczem oraz organizatorem ruchu regionalnego. Wspólnie z Marcelim Tureczkiem założyli stowarzyszenie regionalistów, które zainicjowało coroczne konferencje historyczne. Początkowo w Międzyrzeczu, a potem także w Kostrzynie. Są to majstersztyki organizacji, jako że zawsze jej referenci przyjeżdżający na nie otrzymują do ręki tom rozpraw z tekstami, które mają dopiero wygłosić.

Na konferencji w Kostrzynie, organizowanej przez obu Panów w roku 2006, wygłosiłem referat na temat obozu służb specjalnych Armii Czerwonej, jaki w roku 1945 istniał w tym mieście przez kilka miesięcy. Tekst zamieszczony został w tomie zatytułowanym Dziennik jeńca i inne szkice – twierdza Kostrzyn w przeszłości. Oparłem go na bogatym materiale ikonograficznym w postaci licznych rysunków Gerharda Klaus, jeńca tego obozu oraz jego relacji, które przypadkowo wpadły w me ręce.

Ostatnio na temat tego obozu znalazłem jeszcze jedną wzmiankę. Są to wspomnienia Otto Jörna, wydane w Poznaniu w roku 2004 pod tytułem: Walczyłem w oblężonym Poznaniu. Pamiętnikarz opisuje, jak 9 sierpnia trafił do tego łagru, który nazywa „Obozem zwolnień”. Wspomina w nim o niemieckich komunistach, którzy prowadzili tu szkolenia ideologiczne oraz dochodzenia w sprawie powiązań jeńców z ruchem nazistowskim. Dostał od nich dokument stwierdzający brak zastrzeżeń pod jego adresem potwierdzony pieczęcią z napisem „KPD – Lagerleitung Küstrin”. Autor wspomnień został zwolniony do domu 22 sierpnia.

Szkoda, że z chwilą powołania Muzeum Twierdzy Kostrzyńskiej miasto Kostrzyn zrezygnowało z usług obu regionalistów i wydawanie serii tomów z materiałami pokonferencyjnymi na temat Kostrzyna zostało przerwane.

Dopisek

2 kwietnia otrzymałem informację o wznowieniu w Kostrzynie tego cyklu konferencji, co związane jest ze zmianami kadrowymi w tamtejszym muzeum. W roku 2011 zorganizowana zostanie we wrześniu, z okazji Dni Twierdzy Kostrzyńskiej.

25 stycznia. Rzeźba z Sosen w Muzeum Zamkowym w Malborku.

W Poczdamie działa stowarzyszenie Freundeskreis Schlöser und Garten der Mark zajmujące się od 20 lat swego istnienia między innymi opracowaniem i publikowaniem bogato ilustrowanych monograficznych broszur poświęconych zamkom, pałacom i parkom Brandenburgii. Od kilku lat przy współpracy z autorami polskimi przystąpiono także do opracowania w wersji dwujęzycznej obiektów znajdujących się na obszarze Nowej Marchii, opublikowano dotąd broszury o Dąbroszynie, Słońsku, Mierzęcinie, Łagowie, Swobnicy i Krzymowie. W przygotowaniu są książeczki poświęcone zespołom pałacowo-parkowym w Gliźnie oraz Sosnach.

Prace nad tekstem o Sosnach zbiegły się z listem, jaki Anne Margret von Klitzing z Berlina otrzymała od historyka sztuki z Uniwersytetu Jagiellońskiego dra Wojciecha Walanusa, badacza późnogotyckiej rzeźby w Europie Środkowej. Badacz prosi adresatkę o ewentualne informacje o losach znajdujących się w jej domu rodzinnym w Sosnach /Charlottenhof drewnianych rzeźbach, zabranych ze starego rozebranego kościoła, które, według niemieckiego katalogu zabytków tego powiatu, znajdowały się pałacu. Rzeźby te w roku 1945 przewiezione do muzeum w Gorzowie, uchodziły za zaginione. Tymczasem dr W. Walanus poinformował, że jedna z nich, Madonna, została ostatecznie zakupiona od prywatnego sprzedawcy do zbiorów Muzeum w Malborku.

Nieźłym znawcą dzieł sztuki musiał być ten złoczyńca, który rzeźbę „wyprowadził” z muzeum. Czy znajdują się pozostałe?

23 stycznia. Wodzenie na manowce

W roku 2012 minie trzysta lat od urodzin Fryderyka II. Z tej okazji we frankfurckiej Märkische Oderzeitung znajdujemy nasilenie tekstów związanych z tą postacią. W numerze z 22/23 stycznia 2011 opublikowano artykuł o Wolfgangu Bartschu właścicielu gospody „Zum Alte Fritz” w Letschin w Oderbruchu, zlokalizowanej w pobliżu pomnika tego króla. Jego gospoda słynie z kolekcji portretów, pamiątek i bibelotów poświęconych temu władcy.

Restaurator nabył do swej kolekcji fragment pamiątkowej marmurowej tablicy, która kiedyś wisiała w Kostrzynie na domu dworskiego kaznodziei kalwińskiego Müllera przy Schulstrasse 50a. W domu tym mieszkał ze swym kamerdynerem i paziem księżę Fryderyk, gdy po pokazowym ścięciu von Kattego, z którym zamierzał uciec do Anglii, i wyrażonej wobec ojca skruszce, ten zamienił mu areszt w kostrzyńskiej twierdzy na obowiązek odbywania praktyki w biurach i folwarkach tutejszego nowomarchijskiego rządu. Tablica informuje, że księżę mieszkał tu od 19 listopada 1730 do 26 lutego 1732 roku. Została znaleziona w roku 1993 podczas prac przy odgruzowaniu ulic Starego Miasta przez robotników i nabyta (?) przez Andreasa Simona – przewodnika turystycznego z Rauen, który ją odstąpił Wolfgangowi Bartschowi.

Kostrzyn nie miał w tamtym okresie muzeum i brak fachowego nadzoru podczas prowadzenia tych prac sprawiał, że nie wszystkie znajduwane wtedy zabytkowe przedmioty trafiały tam, gdzie powinny, czyli do miejskiego magazynu.

Jak doniosła „Gazeta Lubuska” (5/6 III 2010) w artykule zatytułowanym „Walczę dla zasady”, nowy dyrektor muzeum uznał pojawienie się tego nadłamanego kawałka marmurowej płyty w Letschin za kradzież i zapowiedział: „Spróbuję jeszcze raz porozumieć się w tej sprawie z właścicielem restauracji, Jeśli to nie poskutkuje, powiadomię polską i niemiecką policję o popełnieniu przestępstwa”. Na to gazeta niemiecka odpowiedziała wywiadem z dyrektorem muzeum Oderbuchu w Bad Freienwalde drem Reinhardem Schmookiem, który wyraził zniesmaczenie sporem i powołał się na wzorową współpracę Niemców z Polakami w Chojnie, gdzie realizuje się wielki wspólny projekt odbudowy fary.

Z miast przedzielonych Odrą i Nysą Łużycką w dziele szukania płaszczyzn porozumienia pomiędzy mieszkańcami obu ich części, od początku lat 90. Kostrzyn znajduje się na szarym końcu. Tutaj wciąż iskrzy. Już 3 czerwca 1947 roku starosta powiatu gorzowskiego K. Grajek w piśmie do wojewody postulował wyrównanie granicy przez przyłączenie Kietz do Kostrzyna (!). Później tak się pechowo złożyło, że zarówno w Kostrzynie jak i w Küstrin Kietz tutejszych „ministrów spraw granicznych” obu społeczności los obdarzył podobnym temperamentem bojowników o pryncypia. Społeczne i polityczne koszty tej walki są w tej walce na dalszym planie. Przed ponad dwudziestu laty polska załoga twierdzy Kostrzyn ogłosiła alarm, gdy Niemcy zmienili nazwę swej wioski z Kietz na Küstrin Kietz, upatrując w tym przejawy niemieckiego rewizjonizmu. W sprawach historii twierdzy i miasta mała wieś długo wyprzedzała miasto, organizując Dni Twierdzy Kostrzyńskiej, na które z całych Niemiec zjeżdżali się fani fortyfikacji, otwierając Izbę Pamięci miasta twierdzy i wydając pionierskie książki o fortach i ostrogach fortecznych, co niechęć naszych wzmogło. Po okresie czasowego zawieszenia wzajemnych animozji i nawet nieśmiałej współpracy znowu zabrzmiały wojenne tarabany. Tym razem o ułomek marmurowej płyty.

Dr Maciej Dudziak pisał niegdyś na łamach NRHA o duchu noszącym miano Błąd, sprowadzającym ludzi na manowce, który wraz z osadnikami ze wsi Rychcice z okolic Drohobycza przywędrował tu, w rejon ujścia Warty, gdzie, w czas mgieł także wodzi co niektórych po bezdrożach. Jak widać, z Nowin Wielkich, gdzie go ostatnio widziano, dociera już do Kostrzyna. Musiał po drodze zawrzeć chyba sojusz z pruskim duchem wojny czyli dąbroszyńską uskrzydloną Wiktorią i wspólnie teraz wiodą tych i owych na manowce. Tym razem już nie w ciszy mgły, a zgodnie z duchem miejsca: w huku. Nie działa (choć należy mieć na uwadze, że mieszkańcy Letschim mają rekonstrukcyjną grupę artyleryjską z armatką, z której nieraz już w twierdzy na wiwat strzelano) a w huku prasowej wrzawy, która dziś ma siłę rażenia wiele silniejszą od baterii armat.

20 lutego. Spotkanie z kontynuatorami tradycji Prus plemiennych

Od kilku lat uczestniczę w poczdamskim dorocznym spotkaniu autorów i wydawców książek i innych opracowań dotyczących dziejów Brandenburgii o nazwie Potsdamer Geschichtsbörse. Jest to okazja zarówno do poznania jak i nabycia prezentowanych publikacji, a także na przedstawienie naszego lubuskiego wydawniczego dorobku. Bywa tu (tym razem niestety nie) Grażyna Kostkiewicz-Górska, kierowniczką działu regionalnego gorzowskiej biblioteki, bywała Krystyna Kamińska w latach istnienia wydawnictwa Arsenał i od kilku lat przyjeżdża z Zielonej Góry z bogatym zestawem naszych lubuskich książek Bogusław Mykietów. Spotkanie sprzyja odświeżaniu starych znajomości i zawieraniu nowych. Z tej okazji przywzimy tu okazowe egzemplarze naszych książek dla biblioteki Landesgeschichtliche Vereinigung für die Mark Brandenburg w Berlinie, którą uznaliśmy za miejsce w Niemczech, gdzie obok biblioteki fundacji „Haus Brandenburg” w Fürstenwalde gromadzimy nasze regionalne opracowania odnoszące się do dziejów Nowej Marchii i Ziemi Lubuskiej.

Przyjazdy tutaj są zarazem okazją do poznania kolejnych wystaw organizowanych w tym samym kompleksie budynków Haus der Preusischer und Brandenburgischer Geschichte. W tym roku była to między innymi wspólna wystawa naszego gorzowskiego Archiwum Państwowego z poczdamskim Brandenburgische Landeshauptarchiw, którą w ubiegłym roku oglądaliśmy w gorzowskiej bibliotece. Zajrzałem także do salki noszącej nazwę Museum-Galerie, by obejrzeć wystawkę zatytułowaną „Die Ersten Preussen”, która mnie totalnie zaskoczyła.

Spodziewałem się bowiem spotkać z przedstawicielami ziomkostwa Niemców z Prus Wschodnich, kultywujących pamięć krzyżackich i późniejszych niemieckich dokonań na tym terenie, a tymczasem napotykałem tych członków niemieckiego ziomkostwa Prus Wschodnich, którzy Krzyżaków uznają za najeźdźców, a siebie za spadkobierców tradycji dawnych plemion pruskich. Uprzejmy przewodnik po wystawie, z dezaprobatą traktował tradycyjne bohaterskie opowieści o wyprawach krzyżowych z udziałem króla Czech Przemysława Otokara II na cześć którego zbudowany zamek nazwany został Königsberg/Królewiec. „Królewiec – mówił – powstał na gruzach zburzonego grodu naszych przodków, gdy krzyżowcy podbili ich kraj”. Zaciekawiony nawiązałem rozmowę i opowiedziałem mu o moim ongiś zielonogórskim uczniu, którego niedawno spotkałem. Mieszka obecnie na pograniczu Mazur i Białostoczczyzny. Ów uczeń z zapałem opowiadał mi o swym udziale w ruchu Jadźwingów, jednego z plemion pruskich, które w tych okolicach zamieszkiwało zanim Mazowszanie, Litwini i krzyżowcy pod wodzą Krzyżaków z kart historii je nie wymazali. Współcześni Jadźwingowie mają swe doroczne zloty, podczas których chodzą ubrani w strojach tego plemienia, uczą się zachowanych w okrucach słów swego języka, poznają dzieje, tropią terenowe po nich ślady. Na tę przekazaną mi informację mój przewodnik sięgnął po 55 numer ich pisma „Tolkemita” z roku 1998 i wręczając mi powiedział: „To jest numer poświęcony Jadźwingom, których my określamy nazwą Sudauer. Jak pan widzi, u nas także jest grupa zajmująca się tym plemieniem”.

Miły przewodnik obdarzył mnie także kilkoma innymi opracowaniami. Ze zdumieniem czytałem o bitwie pod Grunwaldem, która dla ludzi tego kręgu była starciem na ich ziemi dwóch obcych armii. Krwawej wojny rycerstwa spod znaku obcej im chrześcijańskiej religii.

Dopisek 13 marca:

Podczas konferencji w Collegium Polonicum, o której piszę niżej, dr Wiesław Skrobot z Ostródy przedstawiał dokonania Stowarzyszenia Kulturowego Sasinia, które kultywuje pamięć Sasininów, kolejnego wymarłego plemienia Prusów.

22 lutego. Handel pierzem i kolekcjonerzy kapsli

Gdy zakładałem w Witnicy Izbę Regionalną, wnuk pierwszego polskiego wojskowego komendanta miasta Franciszka Semeneta, Robert Szyndel, przekazał do jej zbiorów zachowaną przez dziadka w ich ponemieckim domu fotografię oddziału żołnierzy niemieckich z XIX wieku, która wisiała na ścianie zajętego domu. Robert

Szyndel pod koniec lat 80. opracował pierwszy publikowany plan miasta Witnicy, który zamieściłem w roku 2000 w tomie „Witnica na trakcie dziejów/Vietz am Wege der Geschichte”. Syn Roberta, a prawnuk komendanta miasta, Maciej Szyndel – uczeń witnickiego liceum jest naszym nieocenionym dostawcą pocztówek z dawnej Witnicy. Ślęczy godzinami przed ekranem komputera i wyszukuje witnickie pocztówki na Allegro i gdzie indziej, uczestnicząc następnie w ich aukcji. Pocztówki z końca XIX i pierwszej połowy XX wieku są niezwykle cennym źródłem do dziejów rozwoju miasta. Ostatnio Maciek przyniósł zakupione 4 pocztówki dotyczące handlu pierzem, które mnie bardzo ucieszyły ze względu na swoją tutejszą specyfikę. Przedstawiają dwa samochody firmowe, punkt skupu z szyldem i wnętrze magazynu. Wsie powstałe na osuszonych Błotach Warciańskich służyły z tuczenia gęsi, które sprowadzano tu pociągami z Polski i innych terenów wschodniej Europy, dostarczając je do centrali w Deszcznie pod Gorzowem lub we Wriezen za Odrą, gdzie były zakupywane przez okolicznych rolników. Ci, po poddaniu ich intensywnemu tuczeniu, w przededniu świętego Marcina dokonywali uboju, i po pozbawieniu pierza sprzedawali kupcom dostarczającym słynne markowe „polskie gęsi” do Berlina czy innych miast niemieckich.

Robert Szyndel z synami gromadzi kolekcje przedmiotów związanych z browarnictwem. Są uczestnikami krajowych i zagranicznych zjazdów fanów tej tematyki. Mają swoją stronę internetową, na której prezentują swą kolekcję firmowych kapsli z butelek od piwa. Podczas imprez promocyjnych organizowanych przez witnicki browar ich stoisko jest jedną z atrakcji takich przedsięwzięć.

25 lutego. Sulęcín – Dom Joannitów i problemy ze spalonym miastem

W Domu Joannitów zorganizowano konferencję na temat: „Zajęcie ziemi sulęcińskiej przez wojska radzieckie”. Placówka wzniesiona została z ruiny dzięki wsparciu funduszy europejskich i oddana do użytku w roku 2009 z przeznaczeniem na Centrum Współpracy Polsko-Niemieckiej. Jej kierownik Jacek Cieluch z inwencją i energią gromadzi okruchy dziejów miasta i skrzętnie zbiera pamiątki dla powstającego tu regionalnego muzeum. W jakim klimacie przychodzi mu pracować, dowiedzieć się możemy z wypowiedzi zamieszczanych na forum internetowym przez ludzi, którym się nie chce przychodzić na organizowane tu konferencje, odczyty, spotkania, koncerty czy wystawy, ale którym natomiast bardzo się chce placówkę oblepić pomówieniami i opiniami o bezsensie jej istnienia i nieróbstwie kierownika.

Na konferencji Jacek Cieluch przygotował obszerny i starannie opracowany wykład na temat dnia zajęcia miasta przez Armię Czerwoną. Poprzedzał je desant polskich spadochroniarzy zrzuconych tutaj na tyły frontu w celach zwiadowczych i dywersyjnych. Referent mówił także o okolicznościach zburzenia centrum Sulęcína. Przedstawił rozbieżności występujące u różnych autorów wypowiadających się na ten temat, sugerując jednak, że jeśli chodzi o zniszczenia, to były one dziełem nie walk, lecz aktu odwetu żołnierzy radzieckich.

Przywożłem ze sobą wydany przez Towarzystwo Przyjaciół Witnicy w roku 1994 tom pod tytułem: „Wspomnienia, listy i rozmowy witniczan”, a w nim tekst Sylwestra Waszkowiaka zatytułowany: „Miesiąc na wojnie i pięć lat u bauera”. Autor pochodził z Wielkopolski. W roku wybuchu wojny był uczniem ostatniej klasy gimnazjum w Rogoźnie. Już jesienią 1939 roku z grupą 50 mężczyzn z tego miasta został wywieziony na ziemię torzymską na roboty przymusowe i trafił do Połęcka koło Osna Lubuskiego. Gdy zbliżał się front, został zatrudniony jako woźnica jednego z wozów kolumny niemieckich uciekinierów z tej wsi. Na interesujący uczestników konferencji temat Waszkowiak pisze: „W Sulęcinnie zaskoczył nas nalot 5 niemieckich samolotów. Domy stały w płomieniach”. Gdy podczas dyskusji odczytałem ten fragment wspomnień, głos zabrało dwóch Niemców z tego miasta, utrzymujących kontakty z mieszkańcami Sulęcina i z Domem Joanitów, którzy przebywali w mieście podczas wkroczenia tu Sowieci. Oznajmili, że w mieście nie było żadnego bombardowania i żadnych walk. Centrum spłonęło w wyniku podpażeń dokonanych przez żołnierzy radzieckich.

Tak to ze świadkami historii bywa. Tu czujność na krytykę źródeł musi być szczególnie wyostrzona i tego typu spotkania znakomicie służą oddzieleniu mitów od faktów.

W dyskusji zwrócono także uwagę na fakt, że tryumfalne podpalenia zdobytych miast dotknęły w Lubuskiem między innymi Dobięgniew, Strzelce Krajeńskie, Gorzów, Witnicę, Krzeszyce, ale już losu tego uniknęły Słońsk, Dębno, Międzyrzecz, Lubniewice, Świebodzin, Sulechów czy Zielona Góra, z czego wynika przestroga przed błędem pochopej generalizacji.

28 lutego. Jubileusz Witnicy

Z okazji zbliżających się obchodów 750-lecia istnienia Witnicy burmistrz Zabłocki poprosił mnie o wystąpienie podczas spotkania komitetu honorowego, któremu nadałem roboczy tytuł: „O wykorzystaniu obchodów jubileuszu do pogłębienia procesu kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego miasta, do wzbogacania jego kulturowej tożsamości i wypracowania programu miejskiej polityki pamięci”.

Za rok Witnica obchodzić będzie jubileusz pierwszej wzmianki o swym istnieniu. W roku 1262 spisano akt ugody zawarty pomiędzy templariuszami z Chwarszczan a opanowującymi ziemię kostrzyńską margrabiami brandenburskimi. Ugoda kończyła spór o wsie leżące przy drodze z Kostrzyna do dopiero co zabudowanego przez nich Gorzowa, które margrabiowie templariuszom zabrali, dając w zamian inne ziemie. W wielu opracowaniach naukowych podaje się dwie daty dotyczące tej ugody: lata 1261 i 1262, co jest następstwem dwu wydań historycznych dokumentów, w których podaje się te różne daty. Wydanie drugie, poprawione zawiera datę 1262 i na niej oparliśmy się organizując jubileusz miasta w roku 2012.

Obchody stwarzają okazję ku temu, by spojrzeć na miasto nie w skali kadencji wybranej władzy, ale w kategoriach szerszego dziejowego oddechu, czyli tak zwanego długiego trwania. Przede wszystkim mogą obchody stać się okazją do głębszej zadumy nad specyfiką historii naszej słowiańskiej ongiś rybackiej wioski, przez

niewiele ponad 200 lat będącej w posiadaniu Piastów, a następnie przez siedem stuleci w posiadaniu pokoleń Niemców, którzy w jej krajobrazie kulturowym tak silnie zaznaczyli swoją obecność. Zadamy nad tym, jak rzetelnie, uczciwie, bez politycznego zakłamania i przemilczeń odpowiedzieć sobie na pytanie, co z tego dla nas Polaków dzisiaj wynika?

Obchody sprzyjają również gruntownym przemyśleniom zdarzeń, które dokonały się tutaj w roku 1945 w postaci wymiany ludności i zmiany kultur. Przemysłów dokonywanych na fundamencie filozofii praw człowieka, na których budowana jest Unia Europejska.

Obchody mogą być także okazją do niekoniumkturalnego, pozbawionego uprzedzeń i politycznego zacierzenia, rzetelnego przedstawienia roli, jaką w dziejach tej ziemi i naszego miasta odegrała w latach 1945–1946 Armia Czerwona, oraz do sprawiedliwej wyważonej oceny okresu Polski Ludowej.

Tym spotkaniom oceniającym przeszłość miasta można nadać formę tradycyjnych Witnickich Debat odbywanych w Żółtym Pałacyku, z czego winny wynikać kryteria prowadzonej w mieście polityki pamięci.

Można także opracować listę zaległych czy zaniechanych spraw czekających na załatwienie, a których rozwiązania, w wyniku przemyślanej inspiracji podjęłyby się różne środowiska mieszkańców Witnicy. Na przykład ostateczne zakończenie od lat podejmowanej sprawy oznakowań turystycznych miasta, które od dawna ma Bogdaniec, Santok, Myślubórz i inne miejscowości. Można powrócić do zaniechanego projektu „Nowa Ameryka nad Wartą” wydobywającego systemem tablic informacji turystycznej niezwykle walory krajobrazu kulturowego Błot Warciańskich. Wszak to tutaj znajduje się pole największej europejskiej bitwy stoczonej w XVIII i XIX wieku w imię hasła „błota są złe”, zgodnie z oświeceniową filozofią podboju przyrody przez człowieka, a dzisiaj w dobie tryumfu ekologii i zasady zrównoważonego rozwoju utworzono tutaj Park Narodowy „Ujście Warty” i wdraża się tu program oznaczony hasłem „błota są dobre”. To nasz wielki niewykorzystany promocyjny turystyczny kapitał.

Jubileusz może także zaowocować zebraniem wiedzy w publikacjach i innych formach popularyzacji poświęconej na przykład zabytkom przyrody i ich związków z historią; pamięci zasłużonych dla społeczności lokalnej witniczan; rozwiązaniu problemu nazw charakterystycznych miejsc, które nie dorobiły się stałych „nazwisk” zamienianych w zależności od aktualnego użytkownika, jak choćby nasz ratusz, zwany raz urzędem a kiedy indziej prezydium, magistratem czy sądem. Czekają na druk tom analogiczny dla wydanej w 2000 r. „Witnicy na trakcie dziejów”, poświęcony historii wsi gminy. Można także poprosić o znalezienie sponsora dla publikacji licznych starych pocztówek opracowanych w konwencji dziejów ulic miasta, zmian ich nazw, wyglądu, z zaznaczeniem znaków firm i instytucji przy nich położonych. Jak dowiedzieliśmy się podczas inauguracyjnego spotkania Komitetu Obchodów Jubileuszu 750 lat, władze miasta między innymi te dwa ostatnie tytuły umieściły w programie obchodów.

Jubileusz stwarza także okazję do oceny kondycji społeczeństwa obywatelskiego i opracowania programu pobudzania wspólnotowych inicjatyw mieszkańców. Może w obliczu istnienia w tyłu miejscach miasta zaniedbanych miejsc „niczyich” należa-

łoby wznowić akcję wiosennego porządkowania miasta niegdyś występującego pod nazwą pierwszomajowych czynów społecznych, które oczyszczone z kontekstu politycznego zawierają nośny ładunek gospodarskich postaw obywatelskich, którym tak sprzyja czas wiosny?

Jako ukoronowanie zagadnienia uprawiania przez miasto swej kultury pamięci jubileusz winien zaowocować ostatecznym rozstrzygnięciem kwestii promocyjnego symbolu miasta, z którym chcemy by miasto się turystycznie na trwale kojarzyło, także jako tak zwany „towar turystyczny”. Tak jak Zielona Góra kojarzy się z winnicami i „Świętem Winobrania”. Kostrzyn ze swą fortecą i „Dniami Twierdzy” a Bogdaniec ze swym „Świętem Chleba”, ze stałym zapleczem w postaci muzeum w młynie. Już wcześniej mieliśmy w Witnicy próby szukania symbolicznych znaków tożsamości miasta. Było nim prywatne wojskowe muzeum Czesława Chmielewskiego. Był nim Browar. Pojawił się pomysł, by był nim Park Drogowskazów z towarem turystycznym w postaci Spotkań na Starym Trakcie z systemem Żelaznych Glejtów Burmistrza, z których glejty przyznawane za konstrukcje wesołych pojazdów, w założeniach pierwotnych mały mieć rangę regionalnego i ponadregionalnego towaru turystycznego. Zapowiadający się ciekawie, ale z czasem niedopilnowany organizacyjnie i finansowo projekt, najpierw zamarł w wyniku braku zainteresowania ze strony organizatorów imprezy i został zredukowany do poziomu lokalnego festynu. Już po opracowaniu koncepcji Parku pojawiły się kolejne projekty kulturowego znaku rozpoznawczego miasta, takie jak „Witnica Europejską Stolicą Bajki”, a ostatnio „Noc Perseidów”. Jubileusz miasta jest okazją ku temu, w owym planie perspektywicznym kulturowej tożsamości miasta decydenci jednoznacznie się opowiedzieli, w jakim obszarze swej tożsamości miasto szukać będzie swego „turystycznego towaru”. Jaki znak uzna się za główny, na który jako marka priorytetowa, wzorem wspomnianych miast skieruje się główny organizacyjny, marketingowy i finansowy wysiłek oraz zogniskuje społeczne inicjatywy.

4-6 marca. W Pommern Zentrum w Travemünde czyli wśród ludzi Związku Wypędzonych

Sibylle Dreher, pani prezydent Stowarzyszenia Kobiet przy Związku Wypędzonych, zorganizowała kolejne seminarium z cyklu „Wspólne kształtowanie Europy”, na które zaprasza referentów z Niemiec, Polski, Czech, krajów bałtyckich, z Wielkiej Brytanii, a także Rosji, Izraela i USA. Są to seminaria mające na celu poszukiwanie dróg porozumienia się ludzi przez uczenie się wzajemnego słuchania siebie i poznawania wyników z wojny problemów, z którymi się borykają.

Imprezy przez nią organizowane mają miejsce w różnych miastach Niemiec, ale ten cykl seminariów z reguły odbywa się w Travemünde pod Lubeką, w tamtejszym Pommern-Zentrum, ośrodku zbudowanym dla wypędzonych z Pomorza.

Ośrodek pięknie usytuowany na skraju miasta nad Travą, tuż przy skandynawskim terminalu statków morskich, powstał w latach 80. XX wieku. Był pomyślany z jednej strony jako osiedle mieszkaniowe z własnym kościołem pojednania i gospodą, a z drugiej jako centrum wiedzy o utraconym Pomorzu, z biblioteką, muzeum, salą

widowiskową i izbami seminaryjnymi oraz hotelem. Haus Brandenburg w Fürstenwalde zaprojektowany jako centrum gromadzenia wiedzy o Nowej Marchii, w skali mikro powielał funkcje, jakie założono dla budowanego nieco wcześniej centrum wiedzy o niemieckim Pomorzu w Travemünde. Wkrótce po wybudowaniu Pomern Zentrum nastąpił rozpad systemu komunistycznego, zjednoczenie Niemiec i zmiana polityki FRN wobec Polski jako kandydata do członkostwa w Unii, a miejscem gromadzenia pamiątek z Pomorza stało się państwowe Pommerschen Landesmuseum w Greifswaldzie. Doszło także do programowego rozłamu w środowisku ludzi skupionych wokół tej placówki. W tej sytuacji funkcja ośrodka administrowanego przez Ostseegesellschaft e.V. została zredukowana do miejsca organizacji seminariów i innych imprez finansowanych z różnych źródeł.

Brałem udział w kilku projektach organizowanych tu przez Sibylle Dreher. Za każdym razem zabieram ze sobą kolejnych Lubuszan, by osobiście poznali duchowy klimat miejsca i polityczną atmosferę imprez organizowanych przez nią jako osobę z kręgu bliskich współpracowników Eriki Steinbach. Tym razem byli to: dr Krystyna Kamińska i Ireneusz Szmidt z Gorzowa oraz Stefan Wiernowolski z Sulęcina. Referentami ze strony polskiej byli: mieszkający w Berlinie dr Witold Pronobis, który mówił o problemie złożonej sytuacji polskiej redakcji Radia Wolna Europa nadającej swe audycje do kraju z Monachium, niemieckiego miasta tak silnie związanego z faszyzmem; Redaktor Zbigniew Plesner z radia Szczecin z wykładem o różnicach w rozwoju gospodarczym PRL i NRD; dr Paweł Kacprzyk z Warszawy z referatem o podstawach prawnych oraz praktyce przymusowych wysiedleń Niemców z granic Polski w latach 1945–1949. Wśród referentów niemieckich był dr Richard Buchner historyk z Berlina, który porównywał Hitlera ze Stalinem jako proroków i wodzów wojen, dalej dr Jürgen Haese z Lubeki, autor wydanych w Niemczech poruszających wspomnień z okresu lat 40. spędzonych w Elblągu, gdzie jako niemiecki nastolatek sierota został usynowiony przez polską rodzinę, a następnie, po odnalezieniu się po kilku latach jego matki, z niechęcią wyjechał z nią do Niemiec, bowiem w międzyczasie poczuł się Polakiem i stał się nawet zaangażowanym członkiem Związku Młodzieży Polskiej. Następnie historyk z Lüneburga dr Gerhard Doliesen porównywał systemy polityczne panujące w PRL i NRD, a Niemiec z Norden Zbigniew Kulas prezentował związki gospodarki z ideologią i kulturą w NRD i PRL. Ten sam autor zaprezentował także wyniki wspólnego młodzieżowego projektu podjętego przez niego w Norden i Katarzynę Bak, polską nauczycielkę muzyki w Miastku. Projekt przewidywał wprowadzenie młodzieży obu krajów w problemy epoki za pośrednictwem muzycznych przebojów lat 50. i 60. i wspólnego przygotowania musicalu, którego fragmenty nam przedstawiono.

W dyskusjach, jakie po każdym wystąpieniu mają tu miejsce, i tym razem dawał o sobie znać problem małej samoświadomości dyskutantów o fakcie, że swe poglądy wyrażali za pośrednictwem schematów poznawczych, co sprawiało, że te same fakty w umysłach uczestników debaty układały się w odmienne punkty odniesienia, myślowe struktury, pociągając za sobą ich odmienne oceny.

Dało to szczególnie o sobie znać w dyskusji po referacie Polaka na temat prawnych aspektów wypędzeń. Tutaj porozumienie utrudniał fakt, że w ocenie tego historycznego zjawiska Polacy posługiwali się kalką paradygmatu praw narodu. W tej

optyce Niemcy wojnę wywołali i ponieśli za nią, i za popełnione zbrodnie sprawiedliwą karę. Zastosowany wobec nich odwet i zbiorowa odpowiedzialność w postaci wypędzeń, obejmująca także prześladowanych Niemców – wrogów nazizmu i dzieci, oraz mimo że dotyczyła tylko Niemców wypędzonych i tylko oni, a nie reszta Niemców, zapłacili cenę utraty całego materialnego i duchowego dorobku własnego oraz pokoleń swych przodków, były w tej strukturze poznawczej mało istotne. Wypędzenie nie obciąża naszego sumienia, bowiem zbiorowy rachunek krzywd został wyrównany. I tak my jako całość byliśmy bardziej humanitarni, bo Niemcy jako naród byli wobec nas o wiele gorsi. W dokumentach dotyczących wypędzeń Niemców w Polsce wszak są wyraźne instrukcje w sprawie humanitarnego traktowania wysiedlanych.

Ci Niemcy, którzy na takie spotkania z udziałem Polaków tutaj na swój własny koszt przyjeżdżają, na ogół są już wyzwoleni z postrzegania tego problemu kalką dominacji prawa narodu i w swym myśleniu odwołują się do paradygmatu praw człowieka. Jeden z nich po wysłuchaniu polskiego referatu spytał referenta: „Proszę nam powiedzieć, jak pan dziś patrzy na tamtą epokę i jak Pan dziś ocenia wypędzenie oraz wydziedziczenie Niemców?” Referent, wciąż ograniczony myślowo schematem praw narodu, nie potrafił się z niego wyrwać i miał kłopoty ze zrozumieniem sensu pytania. Obaj panowie odbierali świat na różnych zakresach fał.

Te dwie orientacje myślowe dały o sobie znać także w naszych wieczornych rodaków rozmowach, w których okazało się, że proces przeorientowania się z „myślenia narodem” na „myślenie człowiekiem” nie jest ani łatwy, ani przyjemny, ani w wyniku wymiany zdań szybki. Jeśli chcemy wspólnie Europę kształtować a nie tylko czerpać z niej dla siebie korzyści jest tu jednak proces przeobrażeń naszego świata myśli nieodzowny.

12 marca. Nasz ruch regionalny obiektem dociekań naukowców z Uniwersytetu Europejskiego Viadrina

Naukowcy najbliższego nam – regionalistom dorzeczca ujścia Warty – Uniwersytetu we Frankfurcie do tej pory nie zdradzali zainteresowania tym, w jaki sposób zmagamy się ze złożoną materią dziejowej spuścizny. Ostatnio to się nieco zmieniło. Kierownik Katedry Ochrony Zabytków Uniwersytetu Europejskiego Viadrina profesor Paweł Zalewski zorganizował w ślubickim Collegium Polonicum polsko-niemiecką konferencję poświęconą specyficie krajobrazu kulturowego Ziemi Zachodnich i Północnych Polski i jego ochrony. Obradowano pod hasłem „Moje – twoje – nasze. Polsko-niemieckie dziedzictwo kulturowe a społeczeństwo obywatelskie w dzisiejszej Polsce – doświadczenia, trendy, szanse”. Prezentowali swe dokonania przedstawiciele: Warmii i Mazur z Olsztyna – Borussia i z Ostródy – Sasinia; Szczecina – projekt ratowania architektury ryglowej Antikon; Jeleniej Góry – projekt ratowania zabytków Doliny Pałaców i Ogrodów i Łodzi jako miasta wielokulturowego – ratowanie cmentarza ewangelickiego. Ze strony niemieckiej przedstawiono polsko-niemieckie programy odnowy parku dworskiego w Brodach, szkoleniowy projekt Stralsundu i Szczecina pod nazwą Chatka młodego konserwatora; projekt

odbudowy kościoła Mariackiego w Chojnie i studencką inicjatywę Viadriny pod nazwą Instytut Historii Stosowanej.

Ogólne problemy naszego regionu zreferowała w swym wystąpieniu pani wojewódzka konserwator zabytków. Słubice zaprezentowano omówieniem ewolucji kształtowania tożsamości miasta w odwołaniu się do kryterium czasu na przykładzie dwóch książek o tym mieście. Dwóch referentów ze Słońska przedstawiło działalność tamtejszego kulturalnego stowarzyszenia oraz współpracę z joannitami przy restauracji kościoła. Gubin przygotował relację z rozwoju projektu odbudowy fary, a Witnica zdała raport ze swych dokonań we współpracy stowarzyszeń z władzami samorządu w opiece nad zabytkami, ze swych zabiegów w dziele poszukiwania kulturowej tożsamości miasta oraz wypracowywania zasad uprawiania polityki pamięci. Zaprezentowano także kilka fundacji wspierających odbudowę zabytków.

Z kilku wystąpień części teoretycznej najciekawszym był referat dyrektora Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, twórcy znanego olsztyńskiego historycznego ośrodka badawczego o nazwie Borussia, prof. Roberta Traby. Nosił tytuł: „Historia wspólna czy podzielona?” Profesor opowiadał się za pierwszym członem tej alternatywy. Mówił, że analizując specyfikę zabytków, które znalazły się w granicach Polski po roku 1945, zamiast ostrego rozgraniczania na kulturę niemiecką i polską woli mówić o wspólnej europejskiej kulturze. Odniósł się także do znanej tezy Jana Józefa Lipskiego głoszącej, że jesteśmy „depozytariuszami” obiektów kultury niemieckiej, co zakłada tymczasowość stanu posiadania. Referent uznał to określenie za nieadekwatne do stanu rzeczywistego i dlatego woli odwoływać się do pojęcia „sukcesora” spuścizny. Oświadczył również, że zamiast mówić o „kulturowym dziedzictwie”, które jest zbyt mgliste, woli odwołać się do kategorii zastanego „kulturowego krajobrazu”, który jest wymierny.

W dyskusji nad tezą dotyczącą nierozgraniczania tego co tutaj niemieckie od tego co polskie i zastępowania pojęciem „europejskie” przywołałem zarzuty, jakie kiedyś formułował wobec takich praktyk działacz ziomkowski Nowomarchijczyków Werner Bader. Bader zarzucał nam zawłaszczanie ich kulturowego dorobku w przypadku, gdy na tablicy informującej o wielowiekowej historii jakiegoś zabytku ani razu nie pada słowo Niemiec. Mając ten zarzut na uwadze, przy ogólnej akceptacji tezy o wspólnej europejskiej kulturze, wolę mówić także o jej narodowych odniesieniach, a nie zacierać ich. Choć jest oczywiste, że budownictwo romańskie czy gotyckie, sztuka wznoszenia fortyfikacji, sposoby poskramiania żywiołu wody i inne przejawy zastanych tu przez nas niemieckich dokonań mają swe ogólnoeuropejskie a nie narodowe korzenie.

15 marca. Jeszcze dwa samozwańcze konsulaty

Pracuję nad książką dokumentującą pojednanie Polaków z Niemcami i Niemców z Polakami na płaszczyźnie wspólnego domu, wsi i miasta naszego regionu. Będzie to tom wspomnień wielu autorów. Jak wszystko dobrze się ułoży, w roku bieżącym będzie miała szansę się ukazać. Będzie nosiła tytuł: „Samozwańcze konsulaty”. Miałem duże kłopoty z autorami z Gorzowa, skąd kilka dni temu otrzymałem

wreszcie jeden tekst (na kilka planowanych, z których z braku woli autorów musiałem zrezygnować), co opóźniło prace nad książką. Samozwańczymi konsulatami nazywam miejsca ujawniania się obywatelskiego ruchu uprawiania partnerskiej polsko-niemieckiej polityki zagranicznej na poziomie rodzin. Ostatnio do gromadzonych przykładów takich samozwańczych konsulatów, których odkrywam coraz więcej, doszły kolejne.

Niemiec wywodzący się z Kamienia Małego/Stolberg w gminie Witnica, Kurt Struve z Golzow, jeszcze w ubiegłym roku prosił mnie o pomoc w organizacji jego spotkania z obecnymi mieszkańcami tej wsi, którym chciał opowiedzieć o jej historii. Spotkanie zorganizowałem. Struve już w roku 1964 przyjechał do swego dawnego domu, gdzie został gościnnie podjęty przez polskich gospodarzy. W wyniku tych odwiedzin nawiązała się serdeczna znajomość przeniesiona także na ich dzieci, które się wzajemnie odwiedzały. Były zaproszenia na rodzinne święta. Kontakty zostały przerwane w czasach pierwszej „Solidarności”.

Struve przyjechał teraz z kolegą urodzonym w Golzow. Ten, z rodzicami i rodzeństwem pojawił się w Kamieniu Małym w roku 1967. Także zostali gościnnie podjęci i w następnych latach znajomość kultywowano. Kolega przywiózł zdjęcie rodzinnego domu z roku 1910. Jego ojciec był we wsi przez pewien czas sołtysiem.

Kurt Struve przygotował wystąpienie o dziejach wsi, w warstwie historycznej napisane jednak bardziej sercem niż kompetencjami. Na spotkaniu było około 20 osób, z przewagą kobiet, była grupka młodzieży. Zadawano wiele pytań typu, co gdzie się znajdowało, w czym jako urodzony w roku 1928 dość dobrze się orientował. Spytano go o szkołę. Stała tuż koło kościoła. W ostatnich latach wojny był w niej niemiecki lazaret i budynek Sowietci spalili, a ruina została po wojnie rozebrana. Podczas walk o Kostrzyn i potem w czasie ofensywy odrzańskiej Sowietci na szpital polowy wykorzystali budynki ośrodka wychowawczego „Neanderhaus”, w którym dziś znajduje się zespół szkół rolniczych. Obok, po drugiej stronie drogi do Kamienia Wielkiego, w budynku późniejszej polskiej szkoły, mieścił się wcześniej Kinderheim – ośrodek dla małych sierot. Pytałem go o robotników przymusowych. We wsi była filia obozu w Alt Drewitz, skąd sprowadzono jeńców francuskich i umieszczono w dużej sali tutejszej gospody. Była też liczna grupa Ukrainek i kilka polskich rodzin z dziećmi.

Struve jako siedemnastolatek, ochotnik służby obrony terytorialnej, nad Labą został przez Sowietów wzięty do niewoli i skierowany do obozu w Kostrzynie, o którym tutaj wspominałem pod datą 10 stycznia, skąd po kilku miesiącach został zwolniony „do domu”. Czyli do matki i rodzeństwa, którzy po ucieczce przed frontem wędrowali po Brandenburgii w poszukiwaniu swego miejsca, aż znaleźli opuszczoną ruinę domu w Golzow, na terenie pola bitwy o Selowskie Wzgórza. Tu zamieszkali na stałe. Obdarowani ziemią z reformy rolnej, wkrótce tę ziemię musieli przekazać do spółdzielni produkcyjnej. Spółdzielni która po upadku NRD się nie rozwiązała, i po zmianie formuły prawnej istnieje do dziś, gospodarząc na kilku tysiącach hektarów urodzajnej ziemi. Spółdzielnia ma także swe gospodarstwo na Ukrainie.

Grupa Niemców z Kamienia Małego i dwu wsi sąsiednich usytuowanych przy zosie, każdego roku zjeżdża się z całych Niemiec w Golzow. Jednego roku wybrali się do swego parafialnego Kamienia Małego. Przybyli z pastorem i w tutejszym kościele odprawiono nabożeństwo ekumeniczne z udziałem Polaków. W ścianę kościo-

ła wmurowano wtedy dwujęzyczną tablicę, na której tekst polski brzmi: „Ku pamięci o pomarłych, którym ta ziemia ojczyzną była Mościczki, Krześniczka, Kamień Mały. Parafia Rzymsko-Katolicka Kamień Wielki 2003”. Kiedyś spotykali się w grupie wypełniającej 4 autokary dziś już tylko przyjeżdża kilkanaście osób. Latem 2011 roku raz jeszcze chcą się spotkać w Kamieniu Małym z obecnymi gospodarzami wsi. Rada sołecka pomysł zaakceptowała.

19 marca. Wycieczka w górę Warty

Od wielu lat organizujemy w naszym Polsko-Niemieckim Stowarzyszeniu EDUCATIO Pro Europa Viadrina wycieczki studyjne do miejscowości euroregionu i jego pogranicza. Ostatnio obiektem naszego szczególnego zainteresowania jest krajobraz kulturowy dolin rzek. Zapoczątkowała je w roku 2008 wyprawa szlakiem „Ujarmiania rzeki”, czyli miejsc akcji mojej książki o Błotach Warciańskich. Zwiedzaliśmy wtedy starorzecza, nowe koryta rzek, poznawaliśmy dzieje sypania obwałowań oraz budowy przepompowni i innych urządzeń melioracyjnych zlokalizowanych pomiędzy Świerkocinem a Kostrzynem. W roku 2009 zaznajamialiśmy się z tą problematyką na trasie od Świerkocina do Santoka i nad Notecią do Starego Kurowa. W roku 2010 wybraliśmy się na dwie wyprawy: w górę Noteci od Drezdenka do Krzyża oraz w górę Warty od Skwierzyny przez Międzychód do Sierakowa. Równolegle organizujemy także wyprawy w dolinę Odry po jej obu brzegach.

Teraz wybraliśmy się w górę biegu Warty w rejon Wronek. Po drodze w Białokoszu oglądaliśmy odbudowany pałac z początków XIX wieku, wzniesiony przez pułkownika sztabu generalnego armii pruskiej Christiana von Massaenbacha, który po drugim rozbiore otrzymał od króla ten majątek odebrany cysterkom z Owińsk. Mimo to rozbiory Polski uważał za polityczną pomyłkę Prus, bowiem osłabiały równowagę w tej części Europy, wystawiając je na niebezpieczeństwo ataku ze strony Rosji. Jako liberał sympatyzował z uczestnikami powstania kościuszkowskiego, widząc w nich wyraz płomiennego ducha narodu walczącego z despotyzmem. Marzył o pokojowej Europie państw zjednoczonych duchem oświecenia. Napisał obszernie wspomnienia, z których 4-tomowy wybór został wydany, a ostatni tom na polecenie króla skonfiskowano. Za opracowanie i rozpowszechnianie ulotki antyrządowej, w której domagał się konstytucji i pisał między innymi, że władcy nie są właścicielami majątku narodowego, jedynie czasowymi jego użytkownikami kontrolowanymi przez naród, został zaarrestowany w roku 1817 i skazany na 14 lat więzienia za zdradę stanu. Proces miał miejsce w Kostrzynie. Ułaskawiony w roku 1826 powrócił do Białokosza. Na zaniedbanym leśnym cmentarzu znajduje się jego zrujnowany grób z nagrobkiem z piaskowca. Pułkownik zasłużył na wdzięczniejszą pamięć mieszkańców wsi.

Podczas pobytu w ubiegłym roku w Międzychodzie nabyłem sobie w tamtejszym Muzeum książkę poświęconą Massenbachowi. Nosi tytuł: „Świat był dla mnie za mały”. Wydano ją w języku polskim kilka lat temu w Berlinie jako katalog wystawy, którą prezentowano także w Międzychodzie.

W pobliskim Chrzypsku Wielkim zatrzymaliśmy się przy jednym z ostatnich polskich gotyckich kościołów. Ten budowano w latach 1600–1609. W dobie odrodzenia i reformacji styl gotycki był w niektórych środowiskach polskich traktowany jako ostoją katolicyzmu. Do osobliwości wnętrza należy figura Matki Boskiej „na lwie” datowana na rok 1360, zwana tak dlatego że stoi nie na kuli ziemskiej z węzłem, jak jest najczęściej przedstawiana, ale na leżącym lwie. Szczególnie ciekawe okazały się dwa obrazy. Pierwszy wiszący na ścianie bocznej przedstawia świętych Wojciecha i Stanisława unoszących w obłoku Matkę Boską z dzieciątkiem. Obaj święci politycznie personifikowali w dawnych epokach Wielkopolskę i Małopolskę. Namalowanie ich obu razem symbolizowało jedność państwową obu dzielnic. Obraz ten pierwotnie zamieszczony był w ołtarzu głównym, ale w roku 1863 zastąpił go obraz drugi przedstawiający tylko świętego Wojciecha z Matką Boską. Wielkopolska była w tym czasie pruską prowincją, i tamta polityczna wymowa obrazu musiała wtedy razić. W ołtarzu pozostał św. Wojciech jako patron tego kościoła i Wielkopolski.

We Wronkach mieliśmy możliwość zwiedzenia wnętrza tamtejszego więzienia otwartego w roku 1894. Pawilony z celami zbudowane na planie krzyża przypominają plan więzienia w Słońsku zbudowanego pół wieku wcześniej (1842–49) i rozebranego po roku 1945. Zapoznaliśmy się z warunkami przebywających tu nieco ponad 1000 więźniów z grupy recydywistów, które można zakwalifikować jako odpowiadające współczesnym wymogom i normom praw człowieka. Także praw tych ludzi, którzy jako recydywiści ustawili się poza nawiasem społeczeństwa i winni odczuć przykrości odosobnienia, ale nie upodlenia.

Przy zwiedzaniu miasta interesował nas problem jego kulturowej tożsamości i jej wyrazu. Prezes tamtejszego towarzystwa regionalnego pokazywał nam opracowany przez nich i oznaczony tablicami szlak turystyczny. Miasto w swej polityce historycznej pamięci traktuje więzienie w kategoriach miejsca martyrologii narodu. Także mocno podkreślono tradycje związane z udziałem tutejszej ludności w powstaniu wielkopolskim. Towarzystwo nosi się z zamiarem urządzenia w pobliskiej miejskiej wieży ciśnień muzeum więziennictwa. Do jego przyszłych zbiorów przekazaliśmy kserokopię kilku stron monografii Przemysława Mnichowskiego poświęconą obozowi i więzieniu w Sonneburgu-Słońsku, w których jest mowa o obecności w nim więźniów ewakuowanych z Wronek przed zbliżającym się frontem w końcu stycznia 1945. Nasz przewodnik opowiadał nam także o miejscowym amatorze malarza, malującym seryjnie tutejszy nadwarciański pejzaż z klasztorem franciszkanów, „bo ludzie wyjeżdżający z miasta chcą mieć pamiątkę, a przecież nie namaluję im więzienia” – odpowiedział malarz na pytanie dlaczego wykonuje tyle takich samych obrazów.

Z Wronek pojechaliśmy do niedalekiej Stobnicy, gdzie w lasach nad rzeczką Kończak znajduje się Terenowa Stacja Doświadczalna Katedry Zoologii Akademii Rolniczej w Poznaniu. Pokazano nam tutejszą hodowlę wilków, o których z niezwykłym przejęciem opowiadała nam ich opiekunka. To ta właśnie stacja naukowa przed kilku dziesiątkami lat zajmowała się reintrodukcją bobrów sprowadzonych z Białostoczczyzny i wypuszczanych w wody Wielkopolski, Pomorza i Ziemi Lubuskiej. Gryzonie te są dziś nad Wartą i Odrą utrapieniem, czyniąc wielkie spustoszenie w drzewostanie, blokując spływ wody w rowach melioracyjnych i kopiąc nory w przeciwpowodziowych wałach.

Po tym spotkaniu z naturą zdecydowany zwrot ku kulturze. Dotarliśmy do wsi Zielonogóra, gdzie w niezwykle urokliwym krajobrazie na wysokim brzegu Warty wznoszą się piękne obiekty zespołu pałacowo-parkowego, starannie ostatnio odrestaurowane z funduszy europejskich. Pałac zbudowany został w drugiej połowie XIX wieku przez Anastazego Raczyńskiego, dyplomatę w służbie króla Prus, znanego konesera sztuki. W Berlinie, na miejscu w którym później wzniesiono Reichstag, miał swój pałac z bogatą kolekcją obrazów, dziś będących dumą Muzeum Narodowego w Poznaniu. Znaleźć można tam między innymi także portret mistrza joannickiego ze Słońska, Maurycyego de Nassau.

Na przełomie XIX i XX wieku Zielonogóra znalazła się w posiadaniu niemieckiej gałęzi Raczyńskich z Kurlandii. Obiekt znajduje się w administracji poznańskiego Uniwersytetu Adama Mickiewicza, który ma tutaj swój Dom Pracy Twórczej i Wypoczynku.

Wycieczkę kończył silny akcent ludowo-sarmacki, czyli zwiedzanie w Słopanie niezwyklego drewnianego, gontem krytego wiejskiego kościółka z końca XVII wieku, do którego wiodły inne drzwi dla ludu a inne do kolektorskiej ławy pana dziedzica. Przywiodły nas tu bogate polichromie, cenny zabytek naiwnej sztuki ludowej epoki późnego renesansu i baroku będące wersją katechizmu w obrazkach. Matka Boża swym płaszczem okrywa lud boży w jego feudalnej kolejności miejsca zajmowanego w strukturze społecznej hierarchii przez poszczególne stany. Kościół jest pod wezwaniem św. Mikołaja i na ścianach prezbiterium zamieszczono liczne sceny z jego życia. Przy drzwiach dla ludu widnieje szeroko znany w kręgach piwo-szy motyw diabła wiodącego do piekieł karczmarzę z kuflem w ręku i napisem „bo nie dolewała”.

Wracającym o zmierzchu do domu wszystkim dziewiętnastu uczestnikom naszej wyprawy, ludziom z Gorzowa, Międzyrzecza, Nietoperka, Witnicy, Szczecina i Lubusza rzuciła się w oczy ogromna czerwona kula wznosząca się tuż nad ziemią. Jak nas poinformowano w radiowym komunikacie, dziś Księżyc znajdował się najbliżej ziemi.

30-31 marca. Trzy książki

W końcu miesiąca silny akcent bibliofilski. Najpierw w Kostrzynie tamtejsza biblioteka zorganizowała promocję wydanej przez siebie książki Józefa Piątkowskiego pod tytułem: Reformator i budowniczy margrabia Jan z Kostrzyna. Kronika życia. Daty liczby fakty. Kostrzyn nad Odrą 2010, (stron 273).

Książka jest owocem wieloletnich studiów tego kostrzyńskiego autora nad centralną postacią dziejów miasta. Jako kalendarium życia jedyne, do pewnego stopnia udzielne, władcy Nowej Marchii, dla badacza historii regionu będzie niezbędnym narzędziem w jego pracowni. W lekturze tej cennej publikacji rzuca się jednak w oczy brak kryteriów doboru faktów. Pominięcie wielu z nich, mało istotnych, wyszłoby książce na dobre. Czytelnik odczuje też brak fachowego redaktora, który by z niej usunął wiele nieporadności stylistycznych, w tym często powtarzających się fraz: „datowany jest”, „w źródłach jest mowa” i innych, które można było śmiało

pominać. Są także nieporadności natury translacyjnej. Autor wciąż pisze Cölln ad der Spree, gdy powinno się pisać Cölln nad Sprewą, tak jak piszemy Frankfurt nad Odrą. Mimo tych uchybień biblioteczka nadwarciańsko-nadodrzańskiego regionalisty wzbogaciła się o cenną pozycję.

Publiczność podczas spotkania dopisała, a organizatorzy zadbali o uatrakcyjnienie spotkania scenką teatralną. Przedstawiono wywiad z Janem z Kostrzyna oparty na tekście autorstwa Alfreda Siateckiego w wykonaniu uczniów jednej z tutejszych szkół.

Wprost z Kostrzyna wyjazd z Bogusławem Mykietowem do Zielonej Góry. Po drodze rozmowa o polsko-ukraińsko-czesko-niemieckiej inicjatywie opracowania publikacji poświęconej dziejom wsi Kozaki na Ukrainie i Pyrzany nad Wartą. O obu wsiach w roku 1991 opublikowałem książeczkę pod tytułem „Dwie ziemie mieszkańców Pyrzań”. Potomkowie kozaczan osiadłych w Pyrzanach Bogusław Mykietów i Danuta Zielińska postanowili napisać jej ciąg dalszy, w swym projekcie odwołując się do współpracy z wyższymi uczelniami. Planowana jest wyprawa na Ukrainę, a grupa studentów w maju bieżącego roku będzie w Pyrzanach.

Wyjazd do Zielonej Góry związany był z promocją kolejnej książki. Bogusław Mykietów i Marcei Tureczek zielonogórzanie rodem z naszej części dorzecza dolnej Warty, jak to już wspomniałem wyżej, założyli Stowarzyszenie Regionalistów Środkowego Nadodrza, które od kilku lat jest organizatorem konferencji regionalistów w Międzyrzeczu, a także w Kostrzynie. Książka, która spowodowała mój przyjazd tutaj, jest pokłosiem konferencji zorganizowanej przez nich w Zielonej Górze w roku 2009 na temat stosunku władzy i społeczeństwa Ziemi Lubuskiej do zastanej tu niemieckiej kulturowej spuścizny. Publikacja ukazała się dopiero teraz. Wygłosiłem wtedy tekst będący osobistą moją relacją jako świadka epoki na temat przemian mego stosunku wobec tej spuścizny.

Przed kilku laty Instytut Zachodni w Poznaniu wystąpił z projektem wydania kilku tomików wspomnień ludzi z tytułu pełnienia specyficznych ról społecznych zaangażowanych w dzieło realizacji programu państwa w odniesieniu do niemieckiego dziedzictwa. Zwrócono się do mnie, bym w tym projekcie wystąpił w roli reprezentanta środowiska nauczycieli. Instytut środków na projekt nie otrzymał i z niego zrezygnowano. To co przedstawiłem na konferencji w roku 2009, było pokłosiem i rozwinięciem tamtych przemyśleń. W tekście ukazuję etapy przemian mego stosunku do Niemców wypędzonych z Ziemi Lubuskiej na tle odchodzenia od dotychczas uznawanej filozofii prawa narodu, wypędzenie moralnie usprawiedliwiającej i przyjęcie perspektywy praw jednostki, w której fakt ten ukazuje się jako zło konieczne, które niekoniecznie jednak musiało przebiegać tak jak przebiegało, co obciąża nasze sumienie. Ukazuję także ten problem w relacji do odrzuconej, a dotychczas uznawanej wersji pojęcia ojczyzny i przyswojenie sobie metodologicznej propozycji Stanisława Ossowskiego z jego podziałem na ojczyznę ideologiczną (wielką) i ojczyznę prywatną (małą), jako „dwie strony jednego medalu”.

Dnia 31 marca w Bibliotece im. Norwida była promocja tej książki, której organizatorzy nadali kształt wywiadu ze mną, poprowadzonego przez red. Konrada Stanglewicza. W dyskusji spodziewałem się żywej dezaprobaty mego sposobu myślenia, jako że nawet redaktorzy temu zapowiadali swe veto, tej jednak nie było. Wymiana poglądów, choć wnikliwie, przebiegała spokojnie.

Następnego dnia podczas odwiedzin w Muzeum wręczono mi wydaną w Zielonej Górze w roku 2010 książkę jego dyrektora Andrzeja Toczewskiego noszącą tytuł: „Bitwa o Odrę w roku 1945”. Mamy teraz w jednym prawie 400-stronicowym tomie zebrane i uaktualnione o najnowsze badania, kompendium wiedzy na ten temat. Świetne mapki i cenny dobór zdjęć z granicy wersalskiej z rosyjskimi plakataami w rodzaju „Tu zaczynają się przeklęte Niemcy” dopełniają wagi tego opracowania. Moją wdzięczność wobec autora ogranicza doza niedosytu spowodowana zbyt ogólnikowym potraktowaniem opisu sytuacji na głównym szlaku berlińskim jakim była szosa Dobiegniew-Gorzów-Kostrzyn-Seelow i brak wzmianki o dywizji „Wolfsdenberg” i jej dowódcy, najpierw skazanym na śmierć, a potem zdegradowanym do szeregowca za niepodjęcie walki o Gorzów, jak i o jego kwatery w Witnicy, w której przygotowywał zasadzkę na Sowietów. Prawda, nic z niej nie wyszło, ale krótki wątek dziejów tej efemerycznej dywizji ukazuje stan dezorganizacji wycofujących się w popłochu niemieckich wojskowych jednostek.

Kłopoty z połączeniami kolejowymi spowodowane remontami torów i związane z tym opóźnienia pociągów miały tę dobrą stronę, że wracając do Witnicy, książki miałem czas przeczytać.

7 kwietnia. Wizyta redaktora zza Odry

Jakże mizernie wypadają nasze regionalne gazety z ich serwisem informacji o Brandenburgii wobec konsekwentnie realizowanej od lat polityki Brandenburczyków pogłębiania wiedzy o Lubuskiem i Polsce. Zwłaszcza w przypadku polityki informacyjnej prowadzonej przez redakcję świetnie redagowanego dużego dziennika ukazującego się we Frankfurcie nad Odrą o nazwie Märkische Oderzeitung (MOZ). Od początków lat 90. powołano tam stanowisko w oryginale noszące brzmienie: Redakteur für deutsch-polnische Nachbarschaft. Funkcję tego specjalisty od niemiecko-polskiego sąsiedztwa pełni od lat redaktor Dietrich Schröder.

Dzięki kilku zaprzyjaźnionym osobom zza Odry otrzymuję wcinki tej gazety odnoszące się do spraw niemiecko-polskich i mam w miarę pełne rozeznanie w skali zaangażowania red. Schrödera w realizację powierzonego zadania, w czym pomocna mu jest nieodzowna w takim przypadku znajomość naszego języka. W każdym tygodniu znaleźć można liczne ślady jego kompetencji w prezentowaniu naszych spraw zarówno regionalnych jak i ogólnopolskich. W tekstach naszkicowanych obiektywnie, choć niepozabawionych krytycznych ocen, przybliży je czytelnikom swej gazety w szerokiej gamie form dziennikarskich od doniesień telegraficznych, poprzez reportaże, felietony, publicystykę na przedrukach tekstów polskich kończąc.

Dietrich Schröder jest członkiem polsko-niemieckiego gremium dziennikarzy naszego pogranicza o nazwie „Klub pod stereotypami”. Klub kilka lat temu miał swe spotkanie w Witnicy. Był to okres kolejnej „papierowej” polsko-niemieckiej wojny spowodowanej jakąś niefortunną wypowiedzią dyplomaty czy pochopną uchwałą ważnego państwowego gremium. Zastanawialiśmy się wtedy nad problemem, o ile tego rodzaju powtarzające się od czasu do czasu „wojny na górze” mają przełożenie na to, co w stosunkach między naszymi narodami dzieje się „na dole”, czyli tu, w

naszych przygranicznych wzajemnych kontaktach. Stwierdziliśmy, że wszędzie tam gdzie sięgają wpływy poszczególnych partii zainteresowanych tego typu awanturami i gdzie sięga ich partyjna dyscyplina, tam jest to odczuwalne. Natomiast tam gdzie inicjatywa współpracy jest wynikiem niezależnych obywatelskich inicjatyw, tam wpływ tego typu jest nieobecny. A tak się na szczęście dzieje coraz częściej, czego dowodem między innymi jest fakt, że polscy kandydaci na prezydentów miast, burmistrzów czy wójtów w kampanii wyborczej rezygnują z afiszowania się swą przynależnością partyjną oraz politycznymi sympatiami.

Redaktor Schröder tym razem pojawił się u mnie z okazji zbierania materiałów do tekstów związanych z obchodami stulecia urodzin Fryderyka II. Szukał w Lubuskiem miejsc z tym królem związanych i naszych regionalistów, którzy mogliby mu o naszej percepcji tego króla poinformować. Opowiedziałem mu swoich z tym władcą związanych przygodach natury historiozoficznej, gdy zmagalam się z dysonansem poznawczym na tle kalki poznawczej ojczyzny ideologicznej, bowiem władca ten, mający swój pomnik w Dąbroszynie, jako sprawca pierwszego rozbioru Polski, rysuje się jako demon zła naszych osiemnastowiecznych dziejów, a faktem, że w wymiarze mojej witnickiej ojczyzny małej jest on postacią z grona największych jej dobroczyńców.

Poradziłem redaktorowi zainteresowanie się problemem tajnej dyplomacji tego króla, prowadzonej w rejonie Drezdenka, a związanej z polityką zasiedlania zmeliorowanych dolin Noteci i Warty. Fryderyk zaludniał je przede wszystkim kolonistami narodowości niemieckiej, którzy swego czasu szukali swego lepszego losu w Polsce, a teraz najprzeróżniejszymi metodami byli namawiani do ucieczki z Polski i osiedlania się w Nowej Marchii. Wypożyczyłem mu książkę o Brenckenhoffie, tom materiałów zorganizowanej przeze mnie w roku 2006 konferencji na jego temat z moim tekstem o roli Drezdenka w dywersji przeciw Polsce. Książkę z materiałami konferencji opublikowano w Drezdenku w roku 2010.

11 kwietnia. Otrute niemieckie dziecko i uprowadzenie polskiego chłopca

Otrzymałem telefon z magistratu z informacją o pojawieniu się tam Niemców poszukujących tropów swych krewnych z pytaniem, czy mogą się ze mną spotkać. Przyjechał dr Bernd Wittek, germanista z Bernau. Prowadzi biuro tłumaczy kongresowych. Przedstawił się jako badacz, który przez kilka miesięcy mieszkał we Wrocławiu, gdzie w tamtejszych księgozbiorach i archiwach szukał materiałów do swych badań językoznawczych. Przyjechał z żoną i przyjacielem zmarłego ojca. Szukali tropów po berlińskim domu dziecka, który pod koniec wojny ratowany przed nalotami bombowymi, ewakuowany został do Kamienia Małego. W grupie dzieci był krewny jego ojca, dziewięcioletni chłopiec, z mieszanej niemiecko-żydowskiej rodziny. Przed zbliżającym się frontem w końcu stycznia 1945 roku placówka dostała polecenie przeniesienia się do Frankfurtu nad Odrą. W świetle dotychczasowych ustaleń, w trakcie marszu chłopiec, nie mogąc nadążyć za grupą został przez opiekuna uśmiercony dawką trucizny. Dr Wittek szukał ludzi, którzy mogliby to doniesienie zweryfikować. Skierowałem go do mieszkającego w Golzow Kurta Struve, organiza-

tora dorocznych spotkań mieszkańców tej wsi, którego już znamy z wcześniejszych doniesień.

Wspomniałem o tym spotkaniu znajomej, która powiedziała mi, że szefowa Kola Gospodyń Wiejskich w Kamieniu Małym, Czesława Bocheńska, organizatorka spotkania ze Struvernem, w latach wojny jako dziecko była wraz z rodzicami wywieziona na roboty przymusowe do Niemiec. Któregoś dnia zniknął jej kilkuletni brat pozostawiony pod opieką babci. Wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne. Po latach okazało się, że został porwany przez Niemkę z Bremy, która go usynowiła i wychowała na Niemca. Matka – porywaczka będąc już na łożu śmierci, wyznała mu swój czyn i poinformowała, że jest Polakiem i śladów swych rodziców niech szuka w kościele w Nowym Tomysłu, gdzie był ochrzczony. Po rozpoczęciu poszukiwań rodziców brat Czesławy siostrę odnalazł. Mieszka nadal w Bremie.

15-16 kwietnia. Na tropach Uchtenhagenów

Dwa dni intensywnej dawki wiedzy o rycerskim rodzie von Uchtenhagenów, związanych z dziejami Santoka, Międzyrzecza i Słońska wraz z kluczem okolicznych wsi. Ród ten pojawił się w naszych okolicach w ostatnim okresie rządów Askańczyków, a potem Wittelsbachów. Brali udział w ważnych wydarzeniach nowomarchijskiej „smuty” związanej z walką o sukcesję po zmarłym w Mieszkowicach Waldemarze, a potem z pojawieniem się Fałszywego Waldemara i z tym związaną wojną domową. Mieli rodową posiadłość z zamkiem w Słońsku, skąd przenieśli się w rejon Eberswalde, gdzie widzimy ich jako panów nadodrzańskiego Oderbergu, Freienwalde, w pobliżu którego założyli folwark Sonneburg, a rodową siedzibę zakładając w Neuhausen, gdzie wzniesli zamek. I ten zamek, dziś opuszczony, a tym samym zagrożony, był powodem mojego udziału w studyjnej dwudniowej wyprawie.

Grupa mieszkańców Neuenhagen, entuzjastów ratowania zamku, wybrała się do Polski, by prześledzić nadwarciańskie losy tego rodu. Nocowali w Witnicy, gdzie zwiedzili Park Drogowskazów. W przedszkolu w Nowinach Wielkich goście poznali niezwykle dokonania w pracy z dziećmi dawnej dyrektorki Grażyny Alokxa oraz prezentowali program swego teatru dla dzieci, z widowiskiem na temat dziejów zamku, przy pomocy którego pragną zwracać uwagę rodziców dzieci na jego zagrożoną przyszłość. Byliśmy na Górze Zamkowej w Santoku, w Muzeum w Międzyrzeczu, braliśmy udział w Zlocie Obywateli Republiki Ptasiej w Słońsku, a następnie pod kierunkiem profesora Edwarda Rymara, autora szkicu o dziejach tego rodu opublikowanego na łamach NRHA, tropiliśmy ślady Uchtenhagenów w kościele w Starym Objezierzu oraz w restauracji urządzonej w dawnym klasztorze cystersek w Cedyni. Goście obdarowali gospodarzy odwiedzanych miejsc tablicami genealogicznymi rycerzy von Uchtenhagen.

Spotykając się z profesorem Rymarem, skorzystałem z okazji i zaprosiłem tego znakomitego znawcę średniowiecza Pomorza i Nowej Marchii, by zechciał zainaugurować cykl wykładów poświęconych historii Witnicy organizowanych w związku z jubileuszem miasta. Zaproszenie zostało przyjęte. Poprosimy referenta, by odpowiedział nam na kilka pytań, w tym między innymi: Za co i dlaczego Mieszko I pła-

cił cesarzowi niemieckiemu trybut „aż po rzekę Wartę”? O co toczył się polityczny spór, którego wyrazem była bitwa pod Cedynią? Kim byli Askańczycy i co wiemy o okolicznościach ich pojawienia się na ziemi kostrzyńskiej? Ile prawa, a ile bezprawia legło u fundamentów powstawania Nowej Marchii? Co trwałego po nich pozostało?

24 kwietnia. Wielkanocna kartka od księdza Reiche

Przed laty w Archiwum Państwowym w Gorzowie poznałem katolickiego księdza Aloisa Reiche z Bambergu. Wywodzi się z Bledzewa, któremu jako badacz jego dziejów poświęcił wiele lat swego życia. Pisze mi, że w tym roku kończy 82 lata i wciąż pracuje nad monografią swego rodzinnego miasteczka. W liście sprzed trzech lat pytał mnie o adresy sponsorów, którzy mogliby tę jego pracę finansowo wesprzeć. Poinformowałem o tym Dietricha Handta z ziolkostwa lansberczan. W rozmowie telefonicznej poinformował mnie o nawiązaniu kontaktu z księdzem Reiche.

Kwietniowe remanenty

Regionalista z tytułu swych zawężonych terytorialnie zainteresowań naturalną kolejną rzeczy zagrożony jest uleganiem staremu porzekadłu, wykorzystanemu przez Wyspiańskiego w „Weselu”: „niech na całym świecie wojna, byle nasza wieś...” Warto więc od czasu do czasu zatrzymać się by w naszym marszu sprawdzić azymut ukazujący prawidłowość wybranej drogi. Kwiecień tego roku ze swymi obchodami tragedii smoleńskiej takim refleksjom sprzyjał, gdy jak na dłoni widać było głębię podziąłu Polaków – jak to mówiono – na „dwa wrogie plemiona”. Były w tym podziale przesłanki typowe dla systemu demokratycznego z jego partią rządzącą i parlamentarną opozycją, gdzie problem sprowadza się do poziomu kultury politycznej, której niedobory w tym przypadku były szczególnie jaskrawe. Ujawniły się jednak przede wszystkim podziały natury historiozoficznej ukazujące wizję Polski jutra.

Czytałem ostatnio esej Basila Kerskiego i Roberta Żurka zamieszczony w książce od tytułem „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie” (...) wydanej w roku 2006 przez olsztyńskie wydawnictwo Borussia. Znalazłem w nim tekst autorstwa kardynała Bolesława Kominka z roku 1965. Metropolita wrocławski był jak wiadomo głównym redaktorem słynnego listu biskupów polskich do biskupów niemieckich. W tym to roku 1965 arcybiskup Kominek, wypowiadając się także na temat elementów niezbędnych do poprawy stosunków polsko-niemieckich, pisał: „Sposób mówienia nie może być nacjonalistyczny, lecz musi być europejski w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Europa to przyszłość – nacjonalizmy są wczorajsze. (...) Pogłębianie dyskusji o organizacji rozwiązania federacyjnego dla wszystkich narodów Europy, m. in. poprzez stopniową rezygnację z narodowej suwerenności w kwestiach bezpieczeństwa, gospodarki i polityki zagranicznej”. Na Krakowskim Przedmieściu uwidoczniła się w całej krasie opcja przeciwna temu, o czym pół wieku temu pisał arcybiskup Kominek. Okazało się, że na poziomie ojczyzny ideologicznej polityczne decyzje sprzed dwu dekad o naszym akcesie do Unii Europejskiej rozumianym

jako ograniczenie suwerenności kraju mają wielu przeciwników. Nacjonalistyczna koncepcja państwa egoizmu narodowego z jego wrodzoną potrzebą istnienia wrogą, nie we wszystkich społecznych kręgach jest uznawana za wizję wczorajszą.

W Witnicy pamięć ofiar katastrofy upamiętniono w kwietniu roku ubiegłego. Wiadomość o niej dotarła w trakcie dorocznej akcji sadzenia przez leśników i pracowników urzędu gminy tyle drzew, ile mieszkańców liczy gmina. Postanowiono, że 96 sadzonek modrzewi posadzi się tak, że z lotu ptaka będzie widać cyfry „96”. W pobliżu tego lasu, przy drodze do Jeziora Wielkiego, ustawiono kamień z pamiątkową tablicą. W roku bieżącym poprzestano na złożeniu wieńca pod pomnikiem Polskiego Żołnierza, pod którym organizowane są patriotyczne uroczystości.

W obszarze nadodrzańskiej lokalnej społeczności ojczyzny małej, w której miarą wartości człowieka jest jego wymierny wkład do wspólnego dobra, to co ogólnonarodowe, harmonijnie łączone jest z tym co lokalne i tym co europejskie. Symbolizują to trzy flagi na maszcie przed ratuszem: miejska, państwowa i unijna i idące za nimi czyny. Właśnie trwają prace wykończeniowe przy budowie transgranicznego, polsko-niemieckiego Regionalnego Centrum Ratownictwa. Jest to duży kompleks obiektów wznoszonych przez związek gmin pogranicza przy wsparciu Unii Europejskiej, w którym znajdują swe pomieszczenia zespolone służby: medyczna, policyjna i straży ogniowej,

Azymut sprawdzony. Idziemy w dobrym kierunku.